

GRZEGORZ MOTYKA

<https://orcid.org/0000-0003-3694-4225>

Instytut Studiów Politycznych PAN

Przełom 1989 r. miał fundamentalne znaczenie także dla polskiej historiografii – to stwierdzenie jest na tyle oczywiste, że aż banalne. Zniknięcie ideologicznych okowów i cenzury umożliwiło pisanie o tematach dotąd zakazanych lub przynajmniej wcześniej niemożliwych do podjęcia. Pomysł Redakcji „Kwartalnika Historycznego”, by zająć się sukcesami polskich historyków odniesionymi w tym okresie jest więc ciekawy, niemniej niezamierzenie ma też pewien gorzki posmak, ale o tym za chwilę.

Za sukces polskiej historiografii uznałbym, proszę wybaczyć głos *pro domo sua*, szeroko rozumiane badania nad Wschodem. Dziś często dość bezrefleksyjnie przyjmujemy ustalenia dotyczące choćby zbrodni katyńskiej, nie zwracając uwagi, że w 1989 r. był to temat co prawda przez Polaków niezapomniany, ale jednak znany w gruncie rzeczy jedynie w ogólnym zarysie. Stąd badania Jędrzeja Tucholskiego czy Wojciecha Materskiego, żeby wymienić tylko tych dwóch badaczy spośród całej rzeszy zajmujących się tą problematyką, miały przełomowy charakter, pozwalając lepiej poznać to, co i dlaczego się wówczas wydarzyło. Samo odkrycie miejsc kolejnych straceń i pochówków oraz ustalenie (wciąż niepełnych) list ofiar miały duże znaczenie dla rodzin wówczas zamordowanych. Rzecz jasna, nie byłoby to możliwe bez wsparcia kolegów rosyjskich, zwłaszcza ze Stowarzyszenia „Memoriał”. Bardzo duże, choć nie zawsze doceniane przez historyków znaczenie miały również analizy prawnika Witolda Kuleszy. W Polsce stosuje się termin ludobójstwo/genocyd z reguły bezrefleksyjnie, określając tak wydarzenia często niespełniające tej definicji. Wiele osób używa tego pojęcia bez mała intuicyjnie, myśląc, że chodzi w nim po prostu o zabijanie niewinnych ludzi, a nie zamierzoną fizyczną eksterminację niechcianych grup narodowych, rasowych czy religijnych. W efekcie, choć część badaczy i publicystów chętnie stosuje termin genocyd w odniesieniu do zbrodni katyńskiej, to tylko Kulesza stworzył przekonujące uzasadnienie dla podobnego poglądu. Łącząc masowe egzekucje z deportacją w głąb ZSRS rodzin oficerów zamordowanych przez Sowieców wykazał bowiem, iż teza o chęci

zniszczenia w Katyniu części polskiej grupy narodowej nie jest pozbawiona podstaw.

Kwerendy w archiwach rosyjskich, ukraińskich i białoruskich, a nikt, kto ich nie prowadził, nie zdaje sobie sprawy, z jakimi trudami były one często związane (zdarzały się archiwa, w których temperatura w czytelni naukowej utrzymywała się na poziomie 10 stopni... poniżej zera), pozwoliły na poznanie faktów o deportacjach ludności polskiej, okupacji i represjach w latach 1939–1941, wreszcie o działaniach NKWD na ziemiach polskich w okresie stalinowskim itp. Dzięki nim okazało się na przykład, że porządków komunistycznych w Polsce w latach 1945–1946 strzegło kilka dywizji wojsk NKWD, z których jedna, oznaczona numerem 64, wyjechała z Polski dopiero po sfałszowaniu wyborów do Sejmu Ustawodawczego z 1947 r. Prace Tomasza Strzembosza, Andrzeja Paczkowskiego, Grzegorza Hryciuka czy Rafała Wnuka pozwoliły w tym względzie na posunięcie daleko do przodu naszej wiedzy.

Byłoby wręcz dziwne, gdybym nie powiedział paru słów na temat badań stosunków polsko-ukraińskich. Monografie opublikowane po 1989 r. przyniosły nam w tym względzie całkowitą zmianę perspektywy w odniesieniu do wieku XX — normą stało się podmiotowe traktowanie Ukrainy i Ukraińców. Monografie Jana Jacka Bruskiego o petlurowcach i Wielkim Głodzie, Włodzimierza Mędrzeckiego o międzywojennym Wołyniu, Ryszarda Torzeckiego o stosunkach polsko-ukraińskich w czasie II wojny światowej, Jana Pisulińskiego o powojennych wysiedleniach Ukraińców pozostaną, jak sądzę, klasyką polskiej historiografii. Trzeba też oczywiście pamiętać o wysiłkach dokumentalistów, mam tu na myśli choćby opracowanie strat ludności polskiej na Wołyniu w czasie II wojny światowej, przygotowane przez Władysława i Ewę Siemaszków (ojca i córkę). Bez ich zgoła benedyktyńskiej pracy historykom byłoby dziś nieporównywalnie trudniej dokonywać analizy tych tragicznych wydarzeń.

Co istotne, te i inne publikacje miały wpływ na dialog polsko-rosyjski czy polsko-ukraiński — mówiąc inaczej, gdyby ich nie było, byłby on dziś jeszcze trudniejszy. W dodatku bez wysiłków historyków byłibyśmy jako państwo zwyczajnie nieprzygotowani do sporów, które co chwila rozpalają emocje społeczne, najczęściej z powodu wypowiedzi różnych polityków na tematy historyczne (ostatnio samego prezydenta Władimira Putina). Doświadczenia wolnej Polski pokazują, że naukowcy powinni badać jak najszersze spektrum tematów, nigdy bowiem w gruncie rzeczy nie wiadomo, które z nich okażą się przedmiotem publicznych debat. Zapewne badania Zbigniewa Karpusa nad losami jeńców bolszewickich z wojny 1920 r. uznawane były długo za niszowe i niezbyt społecznie przydatne. Tymczasem, kiedy wokół tej właśnie problematyki wybuchł

konflikt historyczny z Rosją, która próbowała stworzyć z martyrologii jeńców „anty-Katyń”, Karpus okazał się z dnia na dzień właściwie jedynym fachowcem posiadającym rzetelną wiedzę na ten temat.

Inna rzecz, że pomimo tych osiągnięć w debatach z naszymi wschodnimi sąsiadami i tak trzeba co chwila mierzyć się z osobami negującymi podstawowe fakty historyczne i próbującymi z uporem godnym lepszej sprawy usprawiedliwiać rzeczy, których usprawiedliwić zwyczajnie się nie da. Podkreślam ten ostatni fakt, ponieważ dla mnie najciekawsze wydaje się patrzenie na przeszłość przez pryzmat podstawowych praw człowieka. Właśnie z tego punktu widzenia należy oceniać masowe mordy dokonywane przez NKWD, antypolskie ludobójcze czystki etniczne prowadzone przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińską Powstańczą Armię najpierw na Wołyniu, a później też w Galicji Wschodniej, jak również zastosowanie zasady zbiorowej odpowiedzialności wobec ludności cywilnej w trakcie akcji „Wisła” (wymieniam oczywiście tylko wydarzenia związane z badaniami wschodnimi — to oczywiste, że ten katalog można bez trudu znacznie rozszerzyć). Innymi słowy, przy ocenie wydarzeń nie powinno być istotne, jakiej narodowości były ofiary i sprawcy, ale sama istota czynów, które badamy i opisujemy.

Zaryzykowałbym opinię, że z syntezami dziejów Polski polska historiografia ma w ostatnim czasie pewien problem. Istnieją oczywiście ciekawe prace Andrzeja Paczkowskiego, Andrzeja Friszkego, Andrzeja Leona Sowy czy Wojciecha Roszkowskiego, a dla okresu III RP także Antoniego Dudka, jednak, jak przypuszczam, duża część naukowców zwyczajnie uchyla się od pisania tego typu prac. Wielu historyków zajmuje się przygotowaniem prac przyczynkarskich, niekiedy drobiazgowo analizujących wybrany aspekt problemu (dobry przykład stanowi tu książka o Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Tczewie), zamiast zmierzać do syntetycznego ujęcia całości badanego zagadnienia. To oczywiście niedobra sytuacja, tym bardziej że często towarzyszą jej tyleż rozbudowane, co mało przekonujące uzasadnienia dla uprawiania takiego historycznego „szczegółarstwa”.

W powstałą niszę z reguły wchodzi przedstawiciele innych dyscyplin, którzy tworzą interdyscyplinarne syntezy wybranych problemów, nie-rzadko niezwykle interesujące. To nie przypadek, że pierwszą w Polsce historyczną analizę zjawiska ludobójstwa przygotował socjolog Lech M. Nijakowski (*Ludobójstwo. Historia i socjologia ludzkiej destrukcyjności. Popularne wprowadzenie*, Warszawa 2018). Połączenie warsztatu socjologa z gruntowną wiedzą historyczną w jego wydaniu przyniosło udany efekt. Z kolei niezwykle ważna z punktu widzenia badaczy Wschodu monografia Pawła Kowala *Testament Prometeusza. Źródła polityki wschodniej*

*III Rzeczypospolitej* (Warszawa 2018) została przygotowana na styku politologii i nauk historycznych. Interdyscyplinarny charakter tej rozprawy niewątpliwie wpłynął na jej atrakcyjność.

Pomimo tej ważnej roli społecznej spełnianej przez polską historiografię, od kilku lat z pewnym zdziwieniem stwierdzam, że wysiłki historyków często nie znajdują zrozumienia w oczach osób odpowiedzialnych za politykę naukową. Może nawet jest jeszcze gorzej (przechodzę w tym miejscu do wspomnianej na początku nutki goryczy, jaka towarzyszy moim słowom) – sukcesy polskiej humanistyki ostatnich lat były niejednokrotnie osiągnane wbrew nastawieniu świata polityki, często nierozumiejącego wagi rzetelnych badań nad przeszłością. Łatwiej dziś przekazać fundusze na różne fundacje zajmujące się pamięcią historyczną niż profesjonalnym placówkom naukowym. Nauki humanistyczne i społeczne od dawna borykają się z chronicznym niedoborem środków i to mimo tego, że dla zaspokojenia potrzeb historyków potrzeba kwot wręcz śmiesznie małych w skali całego budżetu.

W dodatku zasady ewaluacji instytutów naukowych zostały skonstruowane pod kątem oczekiwań nauk ścisłych, dlatego już dziś nie opłaca się instytucjom naukowym wydawanie opracowań źródeł czy publikowanie recenzji naukowych. Są one tak nisko punktowane, iż zbytne zaangażowanie naukowców w ich przygotowanie naraża wręcz placówki naukowe na uzyskanie gorszej kategorii naukowej, a tym samym faktycznie degradację finansową i środowiskową. Niewiele osób zauważyło, że historyk publikujący aktualnie więcej niż jedną, góra dwie monografie w ciągu czterech lat okresu ewaluacyjnego też staje się obciążeniem dla rodzimego instytutu. Już dziś można zaobserwować tendencję, by drugą, a już zwłaszcza trzecią monografię tego samego autora wydawać z opóźnieniem, w następnym okresie ewaluacyjnym. To rzecz jasna dopiero pierwsze jaskółki nadchodzącego trendu, jednak siłą rzeczy będzie się on umacniać wraz z lepszym rozumieniem stworzonego systemu oceny nauki. Rozumiem, czemu tak się dzieje: politycy od dawna deklarują, że chcieliby wreszcie zobaczyć jakiegoś „polskiego” Nobla, dlatego inwestują w nauki ścisłe. Tymczasem, jeśli ktoś z Polaków dostaje nagrodę Nobla, to najczęściej akurat z humanistyki...

Jestem ciekawy, jak podobna ankieta „Kwartalnika Historycznego” będzie wyglądała za 10 lat.